№ 22.

Warszawa, dnia 22 Maja / 3 Czerwca 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — **Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

O CEZARZE

Z POWODU DZIEŁA NAPOLEONA III I KRYTYK O NIM WYDANYCH.

Namiętności ludzkie od wieków wstrząsające światem, paczące, wykręcające, poniewierające lub podnoszące wszystko według własnego interesu, niedawno z powodu pracy cesarza Napoleona, wystąpiły na szerokie pole popisu. Idąc za mgławem światełkiem własnego interesu, migocącem w ciemnicach ludzkości, jak malutkie gwiazdeczki każące się domyślać niepojętych wspaniałości, uczeni i nieuczeni, złośliwi i dobrzy, politycy i prostacy, jak tylko dowiedzieli się o przygotowaniu wyszłego dziś dzieła, natychmiast głowy, ale nie serca, wynieśli po nad siebie, i tysiące piór skrzypnęło po cierpliwym papierze, a miljony ust otworzyło się z oceną rzeczy, mającéj dopiero powstać. Za pojawieniem się w handlu księgarskim pierwszego tomu, szmer dotąd przyciszony przemienił się w gwar hałaśliwy, czasami ryczący jak huk dalekiego piorunu, albo zgrzytający zębami potępieńca. I znowu prasy całego świata jęknęły, posypały się dzieła, broszury, krytyki, artykuły mniejsze, większe... ale w téj powodzi złości, dowcipu, rozumu, nieuctwa i niezdarności, szperać nie będziemy, ograniczając się na ogólnem na wszystko poglądzie.

Jedni przez pochlebstwo, Cezara wynieśli po nad bogi starożytnego Rzymu: drudzy przez nienawiść, sponiewierali, sprowadzając do malutkiéj jednostki, bardzo zwyczajnéj, dzierżącéj nieśmiertelność, szczęściem a nie zasługą.

Prasa niemiecka szczególniéj była czynną, domyślając się w Cezarze czegoś więcéj jak historji; ale nie brakowało i takich, co wszystko przedstawiali, mówiąc po polsku, na wywrot nie dzieło i naukę mając na celu, ale zdeptanie Cezara, unicestwienie jego czynów i wykazanie błachości podjętéj pracy. Smutne to ale prawdziwe; na szczęście do tych mętów podnoszących się z brudnéj kałuży samolubstwa nie należe-

liśmy, owiał nas troszkę w wykładzie publicznym zimny chłód niemieckiéj krytyki, ale było to chwilowe, przelotne.

W téj powodzi krytycznéj, studjum Georges Sand, zupełnie bezstronne i tem samem nauczające, na szczególną zasługuje uwagę, jakie zaś rzeczywiste jest znaczenie historyczne Cezara, najlepiéj świadczy zajęcie się nim uczonych dzisiejszéj epoki, tylko dla olbrzymów rozpraszają się ciemne mgły wieku. Cezar był jednym z nich, i w chwili pojawienia się jego, powiada Georges Sand: świetność rzeczypospolitéj była na schyłku, anarchja panowała w Rzymie.

W celu ratunku dwie głównie górowały myśli: Katona pragnącego przeszłość wskrzesić całkowicie, i Cezara pragnącego rzeczy nowych, bez zniweczenia istniejących nadużyć. Do dzisiejszego świata, należy szukanie środków, do pogodzenia rozsądku, to jest możebności natychmiastowéj z ideałem to jest z możebnością przyszłą. Im bardziéj patrzemy w przeszłość, tym jaśniéj poznajemy, że zadania tego nie mogli rozwiązać ludzie nie mający wiary w postęp. Ideałem Katona była oligarchja z niewolnikami. Dążnością Cezara była energja polityczna, rozwój społeczny za jaką bądź cenę, i dlatego genjusz Cezara, zdający się przedstawiać nawet wiarę w postęp, i szacunek ludzkości, powabniejszy od nieprzepartego uporu Katona, wyznającego wieczystą nieufność w rozwój ludzi i miłość zasady daleko większą niż miłość bliźnich. A jednak to tylko pozór.

Katon, powiada autorka, stawia cnotę w przeszłości, ale w nią wierzy i kocha ją, Cezar z niéj szydzi i wykreśla ją. Na ideale moralnym zbywa mu zupełnie, gardzi ludźmi i dlatego jest praktyczny i umie się niemi posługiwać. Katon przeciwnie ma ideał wzniosły, ale stosuje go zbyt ciasno i nie zważa na potrzeby nowego życia.

Określenie to za nadto surowe, bo któryż genjusz nie uważa się wyższym od ludzi i nie posługuje się niemi według swego planu? Zmuszony działać przez ludzi, musi znać ich słabości, podnosić się nad nich rozumem i wolą, i mimowoli wyrabiać w sobie pogardę jako dla niższych niedorosłych do potęgi jego myśli.

Zarzutem braku idei moralnéj dowodzi autorka, zapomnienia, że Cezar nie był chrześcjaninem musiał więc błąkać się w ciasnem kółku smolubstwa, w jakie wtłoczoną była cała ludzkość. Że zaś z niego nie umiał się wydobyć, nie umniejsza to mocy potęgi jego gienjuszu, którego siejba czasami zaraz a często po wiekach plon dopiero przynosi. Genjusz choćby najpotężniejszy, jest także tylko człowiekiem i dzieckiem swojego czasu, czyż więc zmniejsza się jego znaczenie, że się nie zdołał oderwać od niego, aby zostać słońcem co dopiero w przyszłości, miało ludzkość oświetlić, promieniem miłości i poświęcenia? Dlatego też Cezar ze stanowiska chrześcjańskiego uważany, wiele stracić może na purpurze majestatu, w jaką go historja przystroiła, ale jako wojownik, organizator, obywatel Rzymski, pozostanie zawsze wielkim, godnym miejsca jakie mu przyznano. Pominięcie tego względu, przebija się i daléj w wymownym głosie autorki.

Prawdziwą wielkością Rzymu, powiada, było nieść oświatę wraz z podbojem na wszystkie brzegi morza Śródziemnego, aż do krańców znanego świata. Wtedy Roma rzeczywiście wtajemniczała ludy w idee prawa takie, jakie były wówczas przyjęte, w owym najlepszym ze światów możebnych. Przez duch bohaterski stała się słońcem narodów; żaden nie istniał, jeżeli Roma nie raczyła spiorunować go swojem zwycięztwem i oświecić swojem przymierzem. Ale duma i cnota stopniały w zetknięciu ze wschodnim zbytkiem: za czasów Cezara już tylko wojowano żeby się zbogacić. Cezar czynił jak inni, ale większy pan i zręczniejszy, lubił pieniądze jako narzędzie do robienia sobie przyjaciół. Kupować przyjaźń, płacić vota, raczyć pospólstwo, oto cały żywot Cezara: w sztuce umieszczania z pożytkiem swoich hojności, należy przedewszystkiem szukać tajemnicy jego w pływu i jego uroku. Takie były obyczaje rzymskie: takie były mówią nam środki owego zepsutego świata. Cezar używał ich szczodrze, nikt nigdy nie umiał tak się niemi jak on posługiwać, przyznaje że były najlepsze, wierzy że nie ma innych. Czyż Cezar miał zostać apostołem dobrego, kiedy mu Opatrzność inną rolę przeznaczyła? Płacił, przekupywał, wyzyskiwał wszystko za pieniądze, ale czyż mógł inaczéj władzę skupić w swojem ręku i ugiąć anarchiczny i zepsuty Rzym do stóp swoich? Gienjusz jakiéj wielkiéj myśli, słowa rzuca w świat bez względu na złych i dobrych, a gdy celem jego podniesienie ducha ludzkości do swoich idei, może pomiatać jednostkami choćby w zbiorowéj masie. Gienjusz czynu ludźmi musi władać, musi więc starać się zrobić ich miękkiemi jak wosk, pociągać ku sobie, zyskiwać, obudzając wiarę, uwielbienie, strach nawet, bo tylko przez nich myśli swéj może nadać ciało i życie. Jacy zaś ludzie takie środki, i właśnie w tem spoczywa potęga gienjuszu, że umie ludzi na wskroś przejrzyć, zgłębić największe tajnie ich serca i potem w danym razie skupiać przy sobie i popychać w kierunku wyznaczonym.

Wszystkie gienjusze czynu tą szli drogą, głaskali, gromili, pochlebiali, miałże Cezar inną postępować? Droga to zapewne czysto ludzka, ale z ludźmi po ludzku trzeba działać, i aby cel był piękny, środki użyte choć wstrętne na pozór, szkody nikomu nie przy-

niosą. Zasada to wprawdzie jezuicka, ale dążyć do dobrego, szorstkość jéj umniejsza się: z pokrzyw i podłego chwastu, bukietu z róż nie uwije, ale można je użyć pożytecznie i dojść do prześlicznéj kwiecistéj grzędy. W dążeniu bezbożnem, zasada ta w potworne przemienia się kształty i wszystko szatani, bo podąża ku ciemnym piekła otchłaniom.

Autorka przypuszczając zarzut podobny, powiada daléj, że nie widzi w Cezarze obłudnika oddanego złemu, i stawiającego złe jako ostateczny cel intryg swoich. Widzi w nim człowieka tylko ambitnego i dopiero wtenczas marzącego o chwale i pomyślności ojczyzny, kiedy zaspokoił własne żądze co do zyskania władzy. Wtedy, powiada, Cezar nie ma nic już dla siebie do żądania, podnosi głowę, drżą mu obłudne usta, piękne jego oko napełnia się światłem, patrzy i obejmuje cały widnokrąg... Artysta i polityk dostrzega piękną stronę potęgi, więc w głębokiéj zadumie tryumfu, powiada sobie: *Roma, to ja!* i wtedy kochać ją począł, jako kochankę którą miał za niewolnicę, ale któréj powab pokonał. Przyłożył więc rękę do roboty, nie chce już władzy tylko na to żeby Romę uczynić pyszną, tryumfującą i wspaniałą jak on sam. Więc przyznaje nareszcie autorka popędy szlachetne Cezarowi, rzecz tylko dziwna, że mu dozwala dopierow starszym wieku marzyć o chwale gdy zwykle młodość bywa pochopniejsza do tego. Potęgi takie jak Cezar, nie godzi się wyzuwać z tego co jest nieodłącznem od każdéj wielkości. Myśl wielka rozpierająca serce genjuszu, tworzy i wypycha go na czoło ludzkości, bo opinją publiczną można oszukać, otumanić, ale tylko potęgą duszy pragnącéj dobra, można nad światem zapanować. Nad bezecną kałużą pogaństwa, kazała autorka przyświecać Cezarowi pochodnią miłości chrześcjańskiéj, wiodącéj do braterstwa i poświęcenia, dziwiąc się że brodził w niéj z głową nad wszystkich wzniesioną a nie ulatywał jasnym białem duchem.

I ci ludzie powiada, autorka zabili go podle, myśląc że spełniają czyn bohaterski że odkupują swój honor i zbawiają ojczyznę! A jednak nie trzeba było zabijać Cezara, gdyż mógł przynajmniéj dzieło swoje materjalne uczynić dojrzałem i przygotować panowanie ducha.

Przyznaje zatem autorka, że Cezar mógł przygotować panowanie ducha; kto zaś szalejącą ludzkość potrafi wziąść na munsztuk swojéj woli i popchnąć ją o jeden stopień na przód, czyż nie godzien uznania i wielkości?

Po tych przedwstępnych uwagach przejdziemy teraz do skreślenia w krótkich zarysach, czynów historycznych samego Cezara.

(d. c. n.).

* * *

Mleko, woda sodowa, upały, burze, Miss Pastrana, statki parowe są to przedmiota na porządku dziennym dzisiejszego życia Warszawy. Gust do mleka przemienił się prawie w wilczy apetyt i we wszystkich mleczarniach w każde święto w godzinach popołudniowych, talerze z tym przysmakiem potrzeba zdobywać szturmem, a łyżki nosić z sobą jak to bardzo słusznie radzi kurjer świąteczny:

Wody sodowéj mamy prawdziwą powódź, na każdéj ulicy choćby najmniejszéj, w każdym niemal kramiku, większym straganie, we wszystkich cukierniach, kawiarniach, handlach, nawet po wielu bramach i na prędce ulepionych budkach, wszędzie spotkać się można z tym ochładzającym napojem, który nie wiem dla czego nazwano *sodowym*, a nie po prostu *gazowym* jak na to rzeczywiście zasługuje. Mimo tego w ogrodzie Saskim, w obu zakładach, wydającym wodę prawie ręce ustają, chociaż podwojono ich liczbę.

Upały tak mamy dokuczliwe, z jakiemi nie zawsze nawet w Lipcu spotkać się można. Czasami nawiedzają nas burze, ale za to, dzięki dosyć często przechodzącym deszczom, przestrzeń powietrzna oddechu Warszawy, oczyszczoną została z nieznośnego pyłu, wzbijanego kołami wozów, nogami koni i powłóczystemi sukniami przesadzonych elegantek.

Statki parowe na swych kursach spacerowych, robią podobno dobre interesa, życzę im jeszcze lepszych. Teatra pomału wyludniają się, ale Miss Pastrana ściąga tłumy ciekawych, chociaż według słów kurjera Warszawskiego, organ mowy ma chrapowaty, śpiewa dosyć wstrętnie i tylko mniéj jest odrażającą od wstrętnéj także pamięci, siostry swéj Julji. Powiadają że na pierwsze przedstawienie, w Cyrku nie tylko wszystkie miejsca zostały zajęte, ale wiele osób dla braku biletów, musiało odłożyć zaspokojenie ciekawości do dnia następnego. Rozpacz z tąd powstała nie do opisania, czulsze nawet serca, krwawym załzawiły się płaczem.

Jakże więc nie mają spekulanci polować na ciekawość ludzką, kiedy ta wszechwładana pani tak im dzielnie służy, pędząc ludzi jak marjonetki, tam gdzie ich wabi umiejętnie ułożone ogłoszenie?

Dla kurjera świątecznego coraz więcéj wnikającego w potrzeby ogółu, ciekawość ludzka i Pastrana,

materjały to obfite, z jakich korzystać zapewne nie zaniedba. Niegdyś portret Miss Julji dały Wolne Żarty z podpisem następującym:

Patrzcie! Oto Miss Pastrana!
Wcałym świecie podziwiana!
Bez żadnéj karykatury,
Portret zdjęty wprost z natury!
Śpiewa wdzięcznie, tańczy składnie,
A ślépkiem strzyże ładnie...!
Błogi kraj ten, gdzie dziewczęta,
Wszystkie takie Pastranięta!

Kiedy u nas tak gust publiczności rozstrzeliwa się między mleko, sodę, i Pastranę, Paryżanie zachwycają się czarodziejskiem widowiskiem teatralnem w osiemnastu obrazach p. t. La Biche au Bois olśniewającem, oszałamiającem, a jak wyraża się korrespondent, nawet ogłupiającem do najwyższego stopnia. Pożoga świateł, kolorów, maszynerja posunięta do najwyższéj doskonałości, najsubtelniejsze kombinacje chemji i fizyki zastosowane do dekoracji i doprowadzone do cudotworności dotykalnéj, oto treść sztuki.

Królewicz szuka zaczarowanéj księżniczki a swojéj kochanki przemienionéj w łanię przez zazdrosne duchy jéj piękności. Że zaś jest niezmiernie tem strapiony, więc on sam i całe państwo dostają straszliwéj żółtaczki, a wszystko na co spojrzysz, drzewa, ludzkie domy, kwiaty, trawy przybierają w jednéj chwili szafranową barwę, daléj przychodzi królewicz do państwa szafirowéj damy, jakby wykutego z szafiru i opromienionego afrykańskiem słońcem. W państwie króla Somona leżącego w głębi morza, królewicz natrafia na festyn, na którym ryby i raki jako goście tworzą malownicze grupy. Występuje gwardja utworzona z rekinów, piechota z węgorzy a drobne rybki jako tancerki. Balet ryb przyodzianych w łuskę, naśladuje ruchy pływaczek, wodę zaś tworzy sztuczne oświetlenie. Tancerki pluskają się w strugach elektrycznego światła, wydając się jakby rzeczywiście w głębi wody widziane. W królestwie Pasternaka, występuje balet jarzyn, w którym ludzie przybierają ich kształty. Widać tańcujący cały ogród warzywny, kalafjory, marchwie, rzepy, cebule, pasternaki, pory, selery, pietruszki, kapusty, sałaty, jarmuże, brukiew, ogórki, dynie, melony, arbuzy, słowem wszystko co się tylko sieje w inspekcie i na grzędzie, tu występuje, skacze, tańczy i podryga.

W żelaznym zamku, widać dno jeziora obrosłe kwiatami i ponętną zielenią, a na niem leżące grupy syren pomiędzy trzcinową zaroślą zrumienioną różowem światłem bengalu. Włosy krucze i jasne kędziory porwane wirem unosi woda; srebrna fala kołysana wietrzykiem, muska śnieżne ramiona, roztrącając się o syreny, jak o perłowe konchy spoczywające w fosforycznych nurtach Indyjskiego morza.

Kończąc opis tak czarodziejskiego obrazu, powiada korrespondent, że jak patrzącemu w słońce, ćmił się w oczach i olśniony tym blaskiem nic już rozróżnić nie może i przez chwilę zostaje ogłupiały, nieprzytomny, tak i po tych widokach, człowiek wychodzi z teatru jak kołowaty baran. Przepraszam za wyrażenie nieco trywialne, ale będzie lepiéj zrozumiane jak każde inne, wykwintniejsze.

Widz wychodzi w smutnym stanie umysłu, w nieopisanym przesycie zmysłów, a w czczości ducha niezmiernéj, gorszéj sto razy niż owcza kołowacizna. Dopiero w parę godzin oprzytomniawszy, wyrabia się przekonanie, że przy pomocy takich widowisk, można ludzi odzwyczaić od myślenia. Po lwach zatem jątrzonych publicznie do rozżarcia, olbrzymie i Pastranie, cóś podobnego zapewne, ujrzemy i w Warszawie. Ciekawych pewnie nie braknie.

Nowości muzyczne.

Afrykanka Meyerbeera.

Znana z tylu doniesień, sądów, ocenień, jeszcze przed jéj wykonaniem publikowanych, ostatnia opera Meyerbeera Afrykanka była w końcu kwietnia przedstawiona w Paryżu i do tego z wielkiem jak piszą powodzeniem. My zaś przyzwyczajeni czasami po lat parę czekać na nowości zarówno muzyczne jak literackie, nadspodziewanie w kilkanaście dni późniéj, zostaliśmy przypuszczeni do możności podziwiania, ostatnich już płodów fantazji wielkiego mistrza harmonji. Nie słysząc opery téj przedstawionéj na scenie, sąd nasz musi być niezmiernie ograniczony; domyślać się można wiele, ale to nigdy nie zastąpi przedstawienia scenicznego.

Uwertura krótka rozwinięciem swem, przekonywa, że Meyerbeer tylko do mniejszych swych oper, dodawał sutszą przedmowę np. do Pardon de Ploermel a przeciwnie w Hugonotach, Proroku, Afrykance zwięźléj przemawia i słusznie, zważywszy na ogół całości pięcioaktowéj.

N. 1. *Romans Inezy* na sopran, wdzięczny, prosty, wyrażający pożegnanie z brzegami rodzinnemi przed odjazdem, kończy się kadencją ładną ale trudną.

N. 4. *Schlummer-lied* śpiew Zeliki Afrykanki na sopran, śpiewany w więzieniu podczas snu Kaska. Oryginalność właściwa Meyerbeerowi cechuje ją i wymaga rzeczywiście

mechanizmu głosowego ogromnego, jeżeli mają być oddane wszystkie znajdujące się w nim delikatne odcienia.

(d. c. n.)

A. B.

DO MOJÉJ MYŚLI.

Lekka, jak tchnienie wiośniane,
Chyża, jak promień słoneczny,
Myśli, darze niebezpieczny,
Po co drażnisz serca ranę?

Czemu zawsze w stronę jedną,
W kraj daleki mkniesz skrzydlata,
I zaprzątasz głowę biedną
Marą co się w życie wplata?

Myśli moja chcę wytchnienia!
Niechaj duch mój lata prześni:
Tu mi błyśniesz w nowéj pieśni,
Gdy przyjdzie chwila ocknienia.

d. 24 Lutego 1865 r. Lipowa,

Emilja Prenier.

DO ***

Zwolna, zwolna koteczko, bądź ostrożną życzę,
I nie tak hojną dla mnie w twych ocząt postrzały,
W słówka, w uśmiechy wabne jak wiosny oblicze
Na czar których tylekroć już serca gorzały.

Otrożnie ze mną radzę, bo możesz twe ciosy,
Twe doświadczone pewne, twe trafne pociski,
Zbyt śmiało je cisnąwszy na wątpliwe losy,
Narazić lekkomyślnie na omylne zyski.

Nie zagłębiaj pazurków w moje serce z lodu,
Bo ze wstydem je cofnąć znów będziesz musiała,
Na co tyle próżnego trudu i zachodu?
Na twe wdzięczne zaloty ja jestem jak skała.

Ostrożnie wreszcie, żeby kiedy te strzeliste,
Te palne iskry, które z takim rzucasz czarem,
Na tłumy niewolników, jak race ogniste,
We własnem twem sercu nie zatliły żarem.

Co? śmiejesz się, wątpisz? tyś zimna jak głazy...
Odejdź więc, nic odemnie nie masz do wygrania
Bezsilne twoje groty, i daremne razy,
Ja ci serca dać nie chcę, ty nie masz do dania.

NITKA.

Warczy na palcach wrzeciono,
Sunie srebrne przędziwo,
Nić osnową kręconą,
Mknie raz wolno, raz żywo.
Nitko ty nitko wiotka,
Czy będziesz ty utkana
W szarą siermięgę kmiotka,
Czy zbieloną zgładzoną,
Wzorzyście przerobioną,
Wprzędą w złoty strój pana?
Czy z ciebie żagle zrobią,
Co nad falami wieją,
I przez wodne bezdroża,
Niosą chleb nasz za morza?
Czy ołtarz przyozdobią,
I sierotę odzieją,
Lub nędzarza otulą
Twą żebraczą koszulą?
Może będziesz godową,
Szatą ciszy trumiennéj,
Lub chorągwią bojową
Wpośród wrzawy wojennéj...
Aż twój rąbek zszarzany
W końcu złożą na rany,
Lub na ziemię rzucone,
Strzębki zdarte starością,
Co dziś niemi wiatr miecie,
W księgi będą zmienione,
Zapisane mądrością,
I noszone po świecie.

Halina G.

PIERWIOSNKI.

Widząc potężną siłę życia dźwigającą naturę z uśpienia, któż Stwórcy nie uwielbi, co to życie rozlał jako konieczny warunek istnienia wszechrzeczy?

Gdy się ziemia pokryje szatą śnieżnego puchu, usypia natura, stygnie życie, mróz się sroży, cień nocy wzmaga, bo światło to dusza zycia, ciemność jego śmiercią. Lecz gdy słońce podniesie się na złocistym tronie w wyżyny niebieskie, jasne promienie padając

na ziemię, rozpryskują się w tysiącznych kropelkach rosy, w miljonach pryzm atomowych, i rozkładając się w różnokolorowe tęcze, barwią świat cały, cudnym uroczym wdziękiem. I wracające życie, szmerem listków i trawek, wonią kwiecia, śpiewem ptaszyn, brzękiem skrzydeł latającego drobiazgu, nuci pieśń dziękczynną dla Stwórcy modlitwę miłości i uwielbienia.

Jako zwiastuny téj cudownéj przemiany natury, z pośród skrzydlatéj rzeszy, wybiega pierwszy skowronek, i płynąc w górę wysoko i świegoląc, zda się szukać drogi do stóp Przedwiecznego, aby złożyć w dani pierwszy głos radości rozbudzonego życia natury. Jednocześnie, z pośród pleśni i suchych liści jeszcze nie obeschłych ze stopniałego śniegu, wychyla główkę pierwiosnek, cichy, samotny, drżący od chłodu, ale już uśmiechający się kropelkami rosy i barwną szatą, mającą wkrótce odziać świat cały. Lud patrząc na to, kornie schyla głowę i razem z ptaszkiem i kwiatkiem, szepcze z pokorą: chwalcie Pana! Alleluja! Alleluja!

Za temi pierwszemi zwiastunami, gwar życia ogarnia ziemię, wszystko wzmaga się, rośnie, zieleni, barwi... szukajmy więc pierwiosnków wiosennego życia, ale w miłości bratniéj, w zacnéj myśli, w natchnieniu od cnoty i pracy, jako kwiatów serc ludzkich, których zima nie mrozi, a lato nie suszy. A przedewszystkiem chwalcie Pana, którego podnóżkiem tronu wszystkie światy, gwiazdy, słońca i planety, a szum żywiołów dalekim wyraźnym echem Jego głosu.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 26 Maja 1865 r.

Z powodu ciągłych upałów, mnóstwo letnich sukien widzieć można na ulicy. Ze wszystkich najmodniejsze w tym roku fularowe i *fil de chèvre*. Ostatni ten wyrób, podobny do gęstego bareżu, odznacza się połyskiem i sztywnością. Nadzwyczaj świeżo wygląda taka suknia w kolorze jasno popielatym, białym lub *chamois*, przerabiana w czarny rzucik, rozmaitéj wielkości lub zupełnie jednostajnego koloru. Spódniczka u sukni bywa niekiedy naszywana plisą z czarnéj mantyny lub wstążką, tworzącą deseń grecki, najczęściéj jednak bywa zupełnie gładka bez żadnego u dołu garnirunku. Stanik ma zwykle nie wielką do koła baskinę, rozciętą w pięciu miejscach i tworzącą do koła klapki. Klapki te naszywają wstążką czarną, równie jak epolety i mankiety u rękawów. Przód stanika spina się na czarne guziki.

Mnóstwo także daje się widzieć sukien białych fularowych i z alpagi w drukowany groszek, w kolorach: czarnym, szafirowym, fijołkowym albo pąsowym, lub też białe w drobne paseczki w tych kolorach. Do sukien tych robią taki sam paletocik, objęty ruszką lub plisą, tego koloru jak rzucik.

Widać także na ulicy, spódnice fularowe z takiemiż samemi paletocikami, czarne w rzucik z drobnych kwiatków, w rozmaitych kolorach. Garnirunek cały składa się z wązkiéj pliski w około paletocika, w kolorze szafirowym, zielonym lub pąsowym, to jest w takim jaki przemaga w rzuciku.

Na rano robią szlafroczki spuszczane do koła, tak z przodu jak z tyłu, przyfałdowane do karczka, z fularu ciemnego w tureckie pasy. Z pod otwartych przodów widać spódniczkę białą, z karbowanemi lub zaprasowanemi w zakładki falbankami. W pasie szlafroczek przewiązuje się lekką szeroką szarfą, z takiegoż samego fularu.

Do codziennego ubrania w domu, powszechnie używane koszulki fularowe, do gładkich spódniczek bareżowych. Widzieliśmy takie ubranie złożone z jasno popielatéj spódniczki wyciętéj w zęby obłożone wstążeczką szafirową *(bleu mexique)*, koszulka fularowa biała w szafirowe delikatne paski, i szeroki pas szafirowy spięty na klamrę stalową dopełniały całości. Głowa odpowiednio do tego przepasana była trzy razy aksamitką szafirową, wązką na palec.

Inne znów ubranie składało się z fijołkowéj spódniczki *fil de chèvre*, z paletocika przystającego do figury i z paska fijołkowego spiętego na złotą klamrę.

Kapelusze coraz bardziéj zmniejszają, z powodu że koki noszą więcéj podniesione w górę; nie ma więc dosyć przestrzeni na pomieszczenie kapelusza. Koki pokrywają zwykle niewidzialną siateczką koloru włosów, po obu stronach przypinają spadające loki. W przybraniu kapeluszy wielka panuje rozmaitość. Uważaliśmy niektóre przystrojone nad czołem wiśniami lub pożyczkami naturalnéj wielkości. Z tyłu na warkocz spada illuzjowy woalik przytwierdzony pęczkiem odpowiednich owoców. Inne znów kapelusze zdobią maleńkiemi bukiecikami z kwiatów, które rozrzucają fantastycznie po całym rondzie. Kapelusik taki illuzjowy, przybrany w maczki polne i bławatki, ładnie i świeżo wygląda.

Z przedmiotów biżuterji pojawiły się złote opaski na głowę, gładkie, szerokości palca, przedzielają niemi niby na dwie połowy. Ubiorki na głowę mają wszystkie kształt grecki, to jest składają się z potrójnéj przepaski aksamitnéj naszytéj lawą, stalą, perłami i t. p. Potrójne te przepaski tak się upowszechniły,

że je zastosowano do siatek i do kapelusików. Uważaliśmy śliczne kapelusze fijołkowe krepowe przybrane potrójnym sznurkiem z fijołków, jeden przechodził brzegiem ronda, drugi przez środek, trzeci zaś w tyle nad warkoczem. Z pod tego ostatniego spadał maleńki woalik z krepy fijołkowéj ogarnirowany wązką ruszką. Kapelusiki takie białe krepowe z potrójnym rzędem białych stokrotek bardzo zalecamy dla młodych osób. Podobały nam się także włosienicowe białe i ze słomy brukselskiéj, podpięte kłosami i ubrane wstążką koloru *maïs*.

Młode panienki w miejscu okrywek, noszą czarne mantynowe szaliki, obszyte frendzlą lub pasmanterją, zazwyczaj spuszczone mocno z ramion, a spięte na przodzie w miejscu stanu.

Takie same szaliki robią także z muślinu i bareżu, z tego samego materjału co suknia.

Do lekkich sukien muślinkowych odpasowanych u dołu noszą takież same chustki stosownie odpasowane.

Z materji jedwabnych na suknie, najmodniejsze w tym roku *Pekiny*, w wązkie na palec podłużne paski. Najładniejsze takie materje w dwóch odcieniach tegoż samego koloru np. w pasy fijołkowe na tle lilla, ciemno zielone na tle *vert anglais* lub orzechowe na tle hawanna. Suknie takie robią zazwyczaj gładkie objęte u dołu sznurem w ciemniejszym odcieniu. Stanik lub paletocik przybrany bywa ruszą albo plisą z gładkiéj materji ciemniejszéj.

Wiele bardzo daje się widzieć sukien z takiemiż samemi spódniczkami. Suknie te robią tylko z materjałów lżejszych i tanich, inaczéj wieleby kosztowały. Uważaliśmy takie ubranie z popielatego *lenosu*. Spódniczka miała u dołu dwie fałdowane falbaneczki. Suknia na każdym brycie podpięta klapkami, wycięta była w zęby, obłożone takąż wstążeczką. Paletocik podobnież zębami był zakończony. Kapelusik popielaty krepowy, przybrany długą zieloną trawą spadającą na warkocz, dopełniał tego świeżego ubrania. Buciki do tego były popielate dryliszkowe. Rękawiczki popielate Duńskie.

W ogólności w ubraniu na ulicę, mało widać jaskrawych i mięszanych kolorów. Zwrot do prostoty widocznie daje się spostrzegać.

Obok téj tak pożądanéj zmiany razi nas niekiedy dziwaczna excentryczność. Niedawno naprzykład uważaliśmy szerokie szarfy do sukien, z ciężkiéj białéj wstążki. W końcach wyrobione były łby końskie, z naturalną grzywą i wprawionym szklannym okiem. Szarfy te przeznaczone były na wyścigi konne w lasku Bulońskim. Wątpiemy, żeby się ta moda upowszechniła.

Małe dziewczynki ubierają na ulicę w sukienki naszywane wstążeczką, pletnią lub pliską jedwabną, z takimże samym paletocikiem albo kaftanikiem. Uważaliśmy między innemi ładne sukienki dziecinne z białéj piki przybrane u dołu plisą z piki szamoa, Przez gładki wycięty staniczek przechodziły szelki szamoa z epoletami. Szeroki pasek szamoa dopełniał ubrania.

Ubiór chłopczyków składa się zwykle z korcikowego, popelinowego lub pikowego kaftanika, takiejże kamizeleczki i majtek naszytych na szwie rzędem małych wypukłych guzików, tworzących jakby lampas.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z alpagi (*écru*). Nad obrębem sznur pąsowy. Stanik gładki spięty na koralowe guziki. Rękawy i epolety przybrane sznurem. Pasek jedwabny pąsowy, nie zbyt szeroki, spięty z boku na klamrę, lub rozetę ze wstążki. Włosy fryzowane nad czołem. Loki spadają po obu stronach koków. Kolczyki koralowe; między lokami nad czołem i w tyle głowy pukielki z aksamitki pąsowéj.

Figura 2. Suknia pekinowa w pasy czarne i szafirowe, *bleu Mexique*. U dołu wolancik z gładkiéj szafirowéj materji. (Wolancik może być także czarny). Paletocik takiż sam ubrany odpowiednio. Kapelusz *Empire*, biały krepowy, z woalikiem kwadratowym, spadającym na warkocz.

Osełka do ostrzenia noży.

Składa się z kamienia zwykle używanego do podobnéj czynności, okrągłego półłokciowéj średnicy, obracanego za pomocą korbki i osadzonego na postumenciku kryjącym kamień tak, że tylko czwarta część z niego nieosłonięta. W środek postumentu leje się woda, w któréj kamień do połowy jest zatopiony, sam zaś postument zrobiony jest z blachy żelaznéj. Wyrób krajowy, cena złp. 18, dostać można w Składzie p. Strohmajera na przeciw kościoła O. O. Reformatów.

Z początkiem m. Lipca r. b. wyjdzie pierwszy numer Czasopisma Illustrowanego „**Kłosy**", poświęconego literaturze, naukom i sztukom.

Zakres i dążność rozbierały już poważne organa prasy naszéj; prospekt zaś szczegółowo objaśniający, wyjdzie w pierwszych dniach Czerwca.

Czasopismo „Kłosy" wychodzić będzie co tydzień, w wielkim formacie; każdy numer obejmie 12 stron ścisłego druku i ozdobionym będzie wieloma drzeworytami. Na ogłoszenia dołączany zostanie osobny dodatek.

Pomimo znacznych nakładów, koniecznych przy wydawnictwie tak szerokiego zakresu, chcąc to pismo rozpowszechnić, cena ustanawia się możliwie nizką.

Prenumerować można: w Warszawie, w Redakcji Kłosów, Ulica Mozowiecka N. 1346*d* oraz we wszystkich Księgarniach i kantorach pism perjodycznych po cenie:

Rocznie...... rs. 8
Półrocznie..... rs. 4
Kwartalnie..... rs. 2
Miesięcznie..... rs. — kop. $67^1/_2$

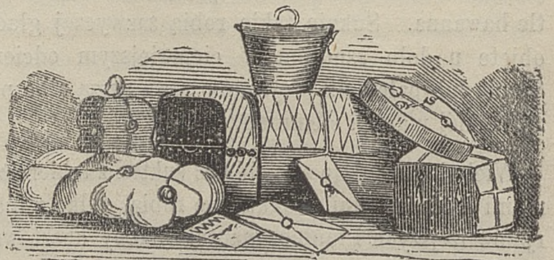
Na Prowincji w Królestwie z przesyłką pocztową; w urzędach i expodycjach pocztowych po cenie:

Rocznie...... rs. 10
Półrocznie..... rs. 5
Kwartalnie..... rs. 2 kop. 50

W Cesarstwie z przesyłką po téj saméj cenie co na prowincji w Królestwie. Za osobne koperty poczta pobiera kwartalnie kop. 50, czyli rocznie rs. 2.

Expedycja i skład główny powierzonemi zostały księgarni Michała Glücksberga, Krakowskie-Przedmieście N. 411 dom Pana Grodzickiego.

Doniesienia przyjmują się w Redakcji i w kantorze drukarni Wydawcy S. Loewenthala, Ulica Mazowiecka N. 1352*a*, dom Hr. Ostrowskiego.



Panu Majew. w Sta. Obrus kosztować będzie złp. 40. Serwety 66 gr. 20. Ręczniki złp. 53 gr. 10. — Pani Ewelinie Kra. Negliż przedstawiony na rycinie w N. 16-m z fjołkowego lub szafirowego kaszmiru krajany w kliny, przybrany galonem tureckim i aksamitką kosztuje w magazynie pana Penkali złp. 266 gr. 20. — Pani T. M. złp. 3 gr. 10 naddane za sprawunki odebraliśmy. — Pani Julji Gra. W magazynie pani Hoffertowéj przy Ulicy Czystéj dostać można Parasolików od złp. 20 do 80.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 22 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 22 Maja (3 Czerwca) 1865 roku.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

— Zkąd jesteś? rzekł znowu. Czy masz rodziców, przyjaciół albo znajomych, co by chcieli za ciebie zaręczyć? Jakim sposobem znajdujesz się w tak smutnem położeniu?

Jakkolwiek nie było mi podobna odpowiedzieć na żadne z tych pytań, niechciałam jednak uchodzić za zwyczajną żebraczkę pod tym gościnnym dachem. Rzekłam tedy:

— Nie mogę dać Panu na teraz żadnego objaśnienia w tym przedmiocie.

— Czegóż więc chcesz od nas? odparł nieco surowo.

— Nie wiele, odpowiedziałam, rada zakończyć rozmowę, która mnie nadto utrudzała.

— Nie sądź przynajmniéj, zawołała Diana, abyśmy cię chcieli wyprawić z domu, w podobną słotę.

Dosyć było spojrzeć na dziewczątko wymawiające te słowa, aby uwierzyć w szlachetność i czułość jéj serca. Odpowiedziałam też z uśmiechem:

— Nie lękam się bynajmniéj niczego podobnego. Róbcie ze mną co wam się podoba, tylko nie żądajcie abym wiele mówiła, bo mi tchu jeszcze brakuje.

Nie odzywano się odtąd więcéj do mnie i obie siostry przeszły z bratem do drugiego pokoju aby się naradzić. Jedna wróciła wkrótce, ale nie wiem dobrze która, bo im bardziéj rozgrzewałam się przy ogniu, tem bardziéj traciłam przytomność. Czułam jednak jakby we śnie, że mnie wyprowadzono z pokoju i pomagano iść po schodach, a potem rozebrano i położono do łóżka dobrze wygrzanego. Potrafiłam podziękować jeszcze w duszy Bogu i moim dobroczyńcom, ale moje myśli zaciemniały się coraz więcéj i wkrótce wpadłam w rodzaj omdlenia.

Stan ten trwał całe trzy dni i przez ten czas nie mogłam ani mówić, ani się poruszyć, ale miewałam chwilami dosyć wyraźne pojęcie tego co się w około mnie działo. Pojmowałam ogólne znaczenie słów zasłyszanych i przeczuwałam poniekąd ile wzbudzałam współczucia w każdéj z osób przychodzących pielęgnować mię kolejno. Współczucie to było najżywsze u Diany, bardziéj umiarkowane w jéj siostrze Maryi, mniéj skłonnéj z przyrodzenia do wynurzeń, co zaś do Pana Saint-John, ten spełniał tylko względem mnie jedną cząstkę obowiązku jaki sobie zakreślił w ogólnych swych pojęciach o ludzkości i o Bogu. Za najmniéj sobie przychylną w domu osobę, mogłam uważać starą Hannę, co było koniecznem następstwem początkowych jéj podejrzeń.

Skoro tylko mogłam się podnieść o własnéj sile i przełknąć bez wstrętu nieco pokarmu, chciałam natychmiast porzucić łóżko. Spojrzałam niespokojnie w stronę gdzie się spodziewałam znaleść moje odzienie powalane błotem i zniszczone od deszczu, ale ucieszyłam się niemało zobaczywszy z jakiem staraniem potrafiono je przywrócić do przyzwoitego stanu. Znalazłam też pod ręką wszystko co było potrzebne do ubrania; potrafiłam wreszcie tego dokonać, chociaż nie bez trudu i odpoczywając co chwila.

Wyszedłszy z pokoju, miałam od razu sposobność przekonać się o ile zmieniła się moja powierzchowność, widząc wyraz uszanowania jaki się odmalował na twarzy poczciwej Hanny kiedy się niespodzianie ukazałam w kuchni. Chcąc się wytłómaczyć z poprzedniego lekceważenia, wymówiła się nierozważnie z przymówką do stanu w jakim byłam kiedy mnie po raz pierwszy widziała, a jakkolwiek niemiała ubliżającéj myśli wymawiając słowo: „żebraczka,“ nie mogłam go jednak przepuścić bez odpowiedzi.

— Taką jestem żebraczką, rzekłam, jak twoje panie, albo ty sama moja dobra Hanno.

— Jakto? odparła nieco urażona, wszakże nie masz pani ani mieszkania, ani pieniędzy?

— Można tego nie mieć, a nie być jednak żebraczką.

Przypomniałam jéj wtedy, nie bez ostréj nagany, jak nielitościwie odmówiła mi, wśród burzliwéj nocy, tego, czego się nawet psu zbłąkanemu nie godzi odmówić. Uznała nareszcie swoją winę, poczęła się tłómaczyć ile mogła i prosiła mię o przebaczenie, które łatwo pozyskała.

Saint-John wszedł w téj chwili z siostrami, które nie chciały mię zostawić w kuchi i zabrały mnie

z sobą do pokojów, tam Saint-John zapytał mię znowu kim byłam. Tą razą wyznałam, że nazwisko Joanny Elleot było tylko przezemnie przybrane, dla ważnych powodów, które mię zmuszały do ukrywania mojego własnego, oraz do zamilczenia nazwiska osoby u któréj dotąd zajmowałam miejsce nauczycielki. Opowiedziałam też po krótce moją młodość, dodając że nic coby mogło mi przynieść wstyd lub ujmę nie przyczyniło się do obecnego mojego ubóstwa i osamotnienia. Potęga prawdy starczyła mi w tym razie za wymowę. Saint-John, który mnie słuchał z razu z podejrzliwą surowością sędziego i z przenikliwością spowiednika, uwierzył nareszcie szczerości moich słów i obiecał dopomódz, w znalezieniu sposobu zapracowania na życie, jak go o to usilnie prosiłam.

— Tymczasem zaś, rzekła do mnie dobra Diana Rivers, pozostaniesz tu z nami. Jesteśmy obie nauczycielkami, podobnie jak i ty, i bawiemy tutaj tylko przez parę tygodni, skutkiem śmierci naszego ojca, poczem Saint-John będzie także musiał wrócić do Morton gdzie go powołują obowiązki pastora. Do tego zaś czasu, jestem pewną że potrafi znaleść dla ciebie miejsce. Zapomnij więc na te dni kilka o wszystkich twoich troskach i staraj się nas przekonać, że dobrodziejstwa nasze, jak je chcesz nazywać, nie są ci przynajmniéj zbyt uciążliwe.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na te szlachetne słowa inaczéj jak łzami, z resztą Saint-John nie zostawił mi czasu do przemówienia.

— Widzisz pani, rzekł, że moje siostry cieszą się na myśl zatrzymania cię tu cokolwiek i możesz zawierzyć ich życzliwości tyle co i mojéj. Co do mnie, radbym postawić cię co najprędzéj w możności wystarczenia sobie własną pracą, dołożę przeto wszelkich starań, ale pamiętaj pani, że jestem tylbo ubogim pastorem wielce ubogiéj parafii... Nie czekaj zatem odemnie świetnego pomieszczenia, a jeśli masz pogardzić skromnemi zajęciami, które ci będę mógł nastręczyć, szukaj zawczasu gdzieindziéj bardziéj skutecznéj pomocy.

— Zrobię, rzekłam, dla zarobienia na moje utrzymanie, wszystko co może zrobić uczciwa kobieta bez własnego poniżenia.

— Dobrze więc, odpowiedział chłodno, wracając do książki którą czytał, jakby się znajdował sam jeden w pokoju.

Po chwili, odeszłam do siebie, aby im nie przeszkadzać, a także żeby odpocząć, bo się jeszcze czułam bardzo osłabioną.

Dni które nastąpiły, przywodzą mi na pamięć łagodne obrazy życia domowego, Diana i Marya Rivers, pokochały mnie bardziéj jeszcze skoro odkryły we mnie pewne ukształcenie i uczucia, które śmiem to powiedzieć, czyniły mię godną ich przyjaźni. Zaledwie się uczułam zdolną do pracy, poczęły mi udzielać lekcye języka niemieckiego, za które w zamian uczyłam je malować. Talent ten stanowił jedyną wyższość moją nad temi uroczemi dziewicami, których piękność, żywość i poetyczne usposobienie zachwycały mię i zadziwiały zarazem.

Nie zakosztowawszy bowiem nigdy sama, owéj pełni życia i szczęścia pierwszych lat młodości, nie pojmowałam jéj dobrze u drugich. Co zaś się tyczy pana Saint-John, ten obudzał we mnie prawdziwe uwielbienie, do którego jednak łączyło się mało współczucia, a natomiast pewien rodzaj obawy.

Z powierzchowności, był to młodzieniec bardzo urodny, rysów tak regularnych, że przypominały najpiękniejsze zabytki sztuki starożytnéj Grecyi. Oczy miał błękitne, ciemne włosy układające się wdzięcznie w gęste pierścienie, był wzrostu wysokiego i kształtnie zbudowany. Wszystko to stanowiło zapewne postać niepospolitéj piękności, ale te piękne błękitne oczy miały wyraz tak surowy, owe usta tyle przedziwnego zarysu, tak rzadko się uśmiechały. Dodać tu potrzeba, że zakonna poniekąd pedanterya, cechowała u niego wypełnianie każdego obowiązku, i tak, codzień, o téjże saméj godzinie, można go było widzieć pochylonego nad tym samym stolikiem i przepatrującego pilnie sanskryckie grammatyki lub indyjskie słowniki. Późniéj, brał kij w rękę i wybierał się— jakabądź była pogoda — w towarzystwie starego psa swojego, do wsi okolicznych, aby nieść potrzebującym radę, pociechę, lub wsparcie.

Siotry, lękając się tych nieustannych trudów, biegły nieraz w ślad za nim, błagając aby pozostał w domu, aby odpoczął choć przez dzień jeden i nie narażał tyle swojego zdrowia, wystawiając się nieustannie na zimno i słotę.

— Czyliż sądzicie, mówił wtedy do nich, że gdybym dzisiaj zaniedbał się w moich obowiązkach dla kilku kropel deszczu, lub nieco ostrzejszego wiatru, mógłbym się stać kiedykolwiek godnym téj przyszłości, do któréj się gotuję?

Diana i Marya odstępowały wtedy od niego z westchnieniem; wiedziały bowiem dobrze, że ów młody apostoł sposobił się już zawczasu do dalekich podróży, trudów i cierpień świętego zawodu missyonarzy. Czekając chwili w któréj jego zwierzchnicy mieli mu otworzyć pole na które go wiodła żarliwa wiara, uczył się nieustannie i wprawiał z niezmordowaną wytrwałością do walk ewangelicznych i do nauczania świętéj wiary. Ztąd

rzadko bardzo mogłam go widywać a i w tedy jeszcze nie odważałam się przerywać zawziętéj jego pracy, lub głębokich rozmyślań. Zdarzyło mi się raz słyszeć go nauczającego z kazalnicy, a wrażenie jakie wywarł na mnie ten głos wymowny, przekonało, że ów człowiek tak świątobliwego życia i tak gorącego zapału, nie umiał jednak znaleść dotąd spokoju duszy, wyższego od wszelkich mądrości, który tem wyżéj na ówczas ceniłam im dalszą od niego byłam jeszcze sama.

Po upływie miesiąca, zdało mi się koniecznèm rozmówić się z panem Saint-John, starając się tedy przemódz trwożliwe poszanowanie jakie we mnie obudzał, poczęłam krążyć pewnego wieczoru w około stolika przy którym pracował, starając się zwrócić nieznacznie jego uwagę. Podniósł oczy i odgadł moją myśl.

— Chcesz wiedzieć, rzekł, co zrobiłem dla ciebie? Wszystko już ułożone od trzech tygodni, tylko widząc że moje siostry rade są twojéj bytności tutaj, i że ty sama nie rozstaniesz się z niemi bez żalu, nie chciałem rozłączać was dopóki ich wyjazd nie uczyni tego rozstania koniecznem.

Nastąpi on za dni cztery. Ja także wyjadę wtedy do Morton. Hanna pojedzie ze mną, a domek zostanie zamknięty.

— Czy to opóźnienie nie narazi mię na utratę miejsca, które dobroć Pana umiała dla mnie wynaleść?

— Nie, ja sam niem rozrządzam, i możesz je zająć w każdym czasie, jeśli ci tylko będzie dogodne. Jednakże, uprzedzam cię, że nie jest ono odpowiednie dotychczasowym twoim nawyknieniom i wykształceniu twojego umysłu. Sam jestem ubogi i nieznany, nie mogę więc ofiarować ci jak tylko ubogie i podrzędne stanowisko, zechcesz że je przyjąć? albo, jeśli je przyjmiesz, czy zechcesz poprzestać na niem na zawsze? Nie łudzę się tą nadzieją. Jesteś tak mało stworzona jak i ja do życia ściśle określonego i krępującego wszelki polot ducha.

— Chciéj się pan jaśniéj wyrazić, nie rozumiem dobrze...

Otóż rzecz jest taka. Jakkolwiek nie pozostanę już długo w Morton, chcę jednak tam uczynić tyle dobrego ile to jest w mojéj możności. Od dwóch lat, założyłem szkółkę dla chłopców, odtąd wszystkie moje usiłowania dążą do obdarzenia téj wioski zakładem w którymby dziewczęta mogły pobierać prawdziwie chrześcijańskie wychowanie. Przy pomocy panny Oliver, córki jedynego zamożnego mieszkańca téj parafii, mogłem nająć odpowiednie zabudowanie, to jest dosyć obszerną stodołę na pomieszczenie szkoły i małą chatkę złożoną z dwóch izdebek na mieszkanie dla nauczycielki, któréj roczne wynagrodzenie ma wynosić trzydzieści funtów sterlingów, z dołączeniem bezpłatnéj usługi jednéj z jéj uczennic Oto jest skromny zawód jaki ci mogę ofiarować, trzeba ci w niem będzie niemało mieć poświęcenia i wytrwałości, zastanów się nad tem zawczasu. Będziesz miała do czynienia z dziećmi z najmniéj oświeconéj warstwy społeczeństwa, zatem twój wykład ma się ograniczać na przedmiotach, których znajomość jest im niezbędną jak: czytanie, pisanie, nieco rachónków i ręczne roboty. Czy zgadzasz się przyjąć to miejsce?

Ostatnie te słowa były wymówione z powątpiewaniem.

— Przyjmuję, nie wachając się ani chwili odpowiedziałam i dziękuję panu za to chlubne stanowisko.

— Cóż więc uczynisz z tem wszystkiem co dziś stanowi twoją wyższość? z twemi talentami, z nauką jaką posiadasz?

— Zachowam je do czasu, w którym mi znowu będą potrzebne.

— Postanowienie twoje opiera się tedy na zupełnéj świadomości?

— Rozumiem jakie przyjmuję na się obowiązki.

— Więc tedy...

— Przenoszę się jutro do mojéj chatki, kierunek zaś szkoły obejmę w przyszłym tygodniu.

Spojrzał na mnie z uśmiechem i rzekł, potrząsając głową:

— Nie pozostaniesz długo w Morton!...

— Zkądże to pan wnosisz? nie pragnę wywyższenia.

Saint-John spojrzał bystro na mnie, i rzekł po chwili:

— Nie pragniesz wywyższenia?... cóż znaczą te słowa? czy to przymówka do mnie?

— Bynajmniéj, mówiłam tylko o sobie.

— Jeżeli to uczucie jest ci obce, to przynajmiéj nie zaprzesz się innych. Jesteś... jakże to mam nazwać? Jesteś namiętna... to jest, że siła uczucia w tobie jest zbyt przeważną i zbyt wymagającą, abyś mogła żyć długo w osamotnieniu, oddana jednostajnéj i obowiązkowéj pracy. Znam ja z własnego doświadczenia ową walkę wrodzonych skłonności z nieubłaganą koniecznością obowiązku... Znam ją, ztąd lituję się nad każdym kto ją rozpoczyna.

Wyszedł po tych słowach, które mi bardziéj duszę jego wyjaśniły, niżeli wszystkie nasze poprzednie stosunki.

Zastanawiając się nad tą duszą tak wzniosłą, a jednak tak mało czułą, znajdowałam nieraz, że

było zaprawdę coś dziwnie sprzecznego z duchem ewangelii, w postanowieniu człowieka, który opuszczał siotry aby nieść słowo Boże w dalekie krainy i zostawiał je ubogie i sieroty bez żadnéj opieki na świecie. Takie było moje uczucie w tym względzie, czy sąd ten był słuszny? tego sama dotąd nie wiem.

Nazajutrz, odjechałam do Morton, a zaraz po tem Diana i Marya powróciły do swoich uczennic. Pan Rivers przeniósł się do plebanii zabierając z sobą starą Hannę, a Marsh-End (tak się zwał stary domek), pozostał opuszczony i samotny wśród rozległych bagnisk, które go zewsząd otaczały.

XX.

Nowe moje mieszkanie miało dla mnie ten nieoceniony urok, że było pierwsze w którem byłam prawdziwie u siebie. Był to niejaki domek w rzeczywistem, nie zaś poetycznem znaczeniu tego słowa. Dół zajmował mały pokoik czysto wybielony, stały w nim cztery stołki drewniane i stolik czysto polakierowany; zegar, mała szafka mieszcząca kilka talerzy i serwis do herbaty z najprostszéj porcelany, — oto wszystkie sprzęty mojego gospodarstwa.

Nad tym pokoikiem był drugi, a w niem łóżko i mała komódka jeszcze za wielka na moją ubogą garderobę, na którą złożyły się moje nowe przyjaciołki, oddając mi z najserdeczniejszą chęcią wszelkie odzienie nie koniecznie im potrzebne.

Miałam dwadzieścia uczennic, z tych trzy umiały już czytać, ale żadna nie była w stanie napisać swoje nazwisko, albo dodać jedną liczbę do drugiéj. Niektóre robiły dosyć dobrze pończochę, lub zaczynały już szyć cokolwiek, wszystkie zaś mówiły zepsutym narzeczem właściwym okolicy, i z początku, zaledwie mogłam je zrozumieć. U niektórych grubijaństwo wyrażeń i obejścia łączyło się z najzupełniejszą ciemnotą.

Z tem wszystkiem, nie zrażałam się trudnościami mojego obowiązku i wzięłam się gorliwie do rozwijania w uczennicach zasobów umysłu i serca jakie w nich złożyła dobroczynna ręka Opatrzności. Nie powiem jednak, żebym od samego wstępu, miała dosyć cnoty i chrześcijańskiéj mądrości do zrozumienia ważności mojego stanowiska i mieć sobie za szczęście, żem została do niego powołaną. Owszem, miewałam chwile niemocy i śmiesznéj próżności, w których widziałam w niem nieledwie poniżenie, i wracałam nieraz myślą do losu jaki mi obiecywała miłość Rochestera, w owym rozkosznym zamku, który zabłysnął na chwilę przed mojemi oczami, po nad tem morzem o błękitnych falach, pod uroczym niebem południowéj Francyi. A jednak, wspierana niewidomą ręką Boga, znajdowałam zawsze w sobie dosyć siły, aby przenieść gorzką czarę obowiązku nad zatrute słodycze miłości i błogosławiłam temu, którego łaska obdarzyła mię odwagą w trudnéj chwili wyboru.

Odwiedzając mię w godzinach, które miał wolne od pracy, Saint-John śledził z troskliwem zajęciem wszystkie te przejścia mojéj myśli. Sądząc mnie według siebie, odgadywał zwątpienia, tęschnoty i wszyskie skryte udręczenia, których bywałam niekiedy pastwą, a wtedy głos jego wymowny ale surowy, przywoływał mię do sprawiedliwszego i więcéj chrześcijańskiego ocenienia losu jaki Opatrzność mi przeznaczyła.

Pewnego wieczora, stojąc ze mną przy furtce mojego ogródka, opowiadał mi w jaki sposób, kiedy po goryczach i zawodach wszelkiego rodzaju, niejako się już był wyrzekł swego powołania, uczuł się nagle orzeźwiony natchnieniem ducha świętego i powziął myśl poświęcenia swego życia apostolskiemu posłannictwu.

W tem świeży i dźwięczny głos przerwał mu mowę, odzywając się tuż przy nas!

— Dobry wieczór, panie Rivers, dobry wieczór, poczciwy Carlo!

Tak się nazywał pies, który był nieodstępnym towarzyszem młodego pastora.

— Carlo poznaje prędzéj od pana swoich przyjaciół, byłam jeszcze na drugim końcu łąki, kiedy już się do mnie radował, a pan się odwraca odemnie, czy to się godzi?

Zaledwie przemówił ten głos tak wdzięczny Saint-John zadrżał jakby błyskawica mignęła nagle przed jego oczami i pozostał przez chwilę blady i nieruchomy. Przyszedł jednak wkrótce do siebie i obrócił się z wolna aby się ukłonić nowo przybyłéj osobie. Była to bez wątpienia jedna z najpiękniejszych dziewic Anglii. Rysy miała bardzo regularne, płeć dolikatną, czarne oczy zacienione długiemi rzęsami, usta zachwycającéj świeżości, włos miękki i bujny, słowem, niebrakło téj cudnéj istocie żadnego z darów, które zjednać mogą kobiecie powszechne uwielbienie.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



Imp. Gilquin r. des Fossés St J. B Paris 3445

TYGODNIK MÓD

w Warszawie